

CENA ZESZYTU ZŁ. 1.

Tymczasowy program drugiego spływu wioślarskiego

16 Sierpnia 1935 r.	piątek	Mistrzostwa Europy F. I. S. A. — przedbiegi. (Statek motorowy „Baldur" będzie od obiadu przygotowany w Grünau do zakwaterowania).
17 „ „	sobota	Mistrzostwa Europy F. I. S. A. — przedbiegi — Bal nocy letniej u Krolla. Kwatery na „Baldurze".
18 „ „	niedziela	Mistrzostwa Europy F. I. S. A. — regaty, finały. Powitanie spływu na przystani klubu Banku Drezdeńskiego — Odczyt z przezroczami — Bankiet — Kwatery na „Baldurze".
19 „ „	poniedziałek	Przejazd łodziami: Grünau — Seddinsee — Gosener Graben Woltersdorfer Schleuse — Kalkberge — Zwiedzanie wapieniołomów — Kalkberge — Woltersdorfer Schleuse — Erkner (25 klm.) — Kwatery na przystani Kyffh. i w Erkner.
20 „ „	wtorek	Przejazd łodziami: Erkner — Rahnsdorf (Zwiedzenie stacji ratunkowej) Müggelsee — Köpenick — Oberschoneweide (18 klm.) — Kwatery na „Baldurze".
21 „ „	środa	Przejazd łodziami: Oberschoneweide — Treptow — Mühlendammschleuse — Stadtspree — Charlottenburger Schleuse — Spandau — Spandauer K. W. (28 klm.) — Kwatery na „Baldurze".
22 „ „	czwartek	Wycieczka autokarowa ze zwiedzeniem Berlina m. inn. Ehrermal — Zoo. — Port Lotniczy — Scala, przedstawienie popołudniowe. Dom rozrywkowy Haus Vaterland — Kwatery na „Baldurze".
23 „ „	piątek	Przejazd łodziami: Spandauer Kl. W. — Schwanenwerder, Kl. Wansee — Potsdam: Luftschiffshaven (36 klm.) Kwatery na „Baldurze".
24 „ „	sobota	Przejazd łodziami: Potsdam — Glienicker Brücke — Nedlitz — Marquardt — Werder (28 klm.) — Kwatery na „Baldurze".
25 „ „	niedziela	Przejazd łodziami: Werder — Caputh — Potsdam (Potsdamski Klub Wioślarski (16 klm.) — Zwiedzenie Potsdamu i Sanssouci — Kwatery na „Baldurze".
26 „ „	poniedziałek	Przejazd łodziami: Potsdam — Gribnitzsee — Teltowkanal — Baumschulenweg (42 klm.) — Kwatery na „Baldurze".
27 „ „	wtorek	Powrót. „Baldur" jest do dyspozycji do 11-tej godziny w nocy.

Zapisy do dnia 15 czerwca 1935 r. w P. Z. T. W. Adres: Warszawa, A. Jerozolimskie 45.

ROK 11 WARSZAWA KWIECIEŃ 1935 R. Nr. 7

Sport Wodny

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM WIOŚLARSTWA ŻEGLARSTWA PŁYWACTWA TURYSTYKI WODNEJ JACHTINGU MOTOROWEGO

O dobre obyczaje turystyczne

„Don Kichot umarł bezdzietnie, ale Sancho Pansa się rozmnożył razem [illegible] swoim osłem [illegible] wykonuje na swój sposób moralny mandat cywilizacji".

J. G. Pawlikowski.

Na inaugurację sezonu mam napisać [illegible] najbardziej aktualnego. Przewalają się przez głowę setki tematów mniej lub więcej pociągających: plany, zamierzenia, troski. Napisać coś, zachłysniętego wiosną, coś pełnego entuzjazmu, radości słońca? A może uderzyć w gong olimpijski z okazji kursu kajakowców w Krakowie. Jestem w rozterce, wreszcie dobywa się z głębi ton najbardziej bolesny i... zaczynam pisać morały.

Boy-mędrzec odrzekłby „że już czas mi zostać dziadkiem" oczywiście, nie tym „miarodajnym czynnikiem", ale poprostu sfetryczałym zrzędzącym trzy po trzy staruszkiem.

Sądźcie, jak chcecie.

Wraz z szybkiem demokratyzowaniem sportu i turystyki (jego pokrewnej gałęzi), nastąpiła gwałtowna baissa „temperatury moralnej".

Możliwe, że wulgaryzacja sportu idzie nawet szybciej, niż jego rozrost. Są tacy, co przepowiadają „krach" — najtypowszej dla XX wieku idei.

Wszak twórca neo-olimpijski bar. de Coubertin usunął się w zacisze, rozgoryczony do swego dzieła. Sport z wychowawcy, budowniczego „nowego wzniosłego stylu życia" schodzi na śliską drogę epidermicznej rozrywki. Epigonom brakuje podstawy moralnej i kultury twórców, tłum podludków wulgaryzuje i deprawuje sport. Posąg olimpijski mocno spękany i pokryty złowrogiemi plamami poddaje się gwałtownie zabiegom kosmetycznym. Trąbi na alarm prasa, przywódcy, władze. Przystępuje się do gorączkowego remontu bałwanów. Nie chce się jednak uznać pra-przyczyny zła. Jest nią ekshibicjonizm sportu, nieposkromiona żądza poklasku, sławy.

[illegible] koncepcja sportu mało ma pierwiastków „szkoły i świątyni" raczej jest „cyrkiem i targowicą".

Zamiast stylu prostoty, wzniosłej zwyczajności chorobliwa pogoń za niezwykłością.

Zamiast tonu społecznego, ton egoizmu. W atmosferze buissnesu i samoadoracji herosów, rodzi się handel „sportowym żywym towarem", będący hańbą i sportu i człowieka.

No dobrze, zgoda, lecz cóż to obchodzi nas turystów? „Niech się drapie, kto ma liszaj — mówi Szekspir — nasza skóra zdrowa!"

Takby się zdawać mogło, tak jednak nie jest. Nasze skromne społeczeństwo turystyczne nie jest bynajmniej oazą szczęścia i pogody w atmosferze burz i rewolucyj.

I sport i turystykę uprawiają często ci sami ludzie, prądy przenikają się wzajemnie. Czy możliwą jest rzeczą, by ludzie przechodząc z bieżni na przystań, wraz z kostjumem zmieniali i wyznawane ideje, podnosili swój stan moralny?

Turystyka niewątpliwie jest do dziś zdrowszą, płynie to jednak głównie stąd, że jest ruchem pojedyńczych jednostek, nie podlegających, dzięki rozproszkowaniu, tak łatwo deprawacji, jak zespoły przejmujące szybciej „ułatwiony styl życia".

W turystyce silną jest również pozycja grupy kierowniczej, licznej, wśród której nie brak ludzi dużej idei i kultury. Ideologja turystyczna nie jest, jak sportowa gwałtownie importowana, lecz wzrosła na rodzimych glebach, i posiada za sobą starą wielką tradycję.

Rzecz w tem, by dotychczasowy wysoki ideowy styl turystyczny utrzymać. Trzeba wprowadzać doskonalszy sprzęt, wyposażenie, metody, — pamiętać jednak należy, że niemniej ważny jest rynsztunek duchowy. Turysta musi pozostać przyjacielem przyrody, ludu, kultury. Nie wolno dopuścić, by rozpanoszył się typ dzikiego turysty, dewastującego pola i ogrody przybrzeżne, darmozjada nadużywającego gościnności gospodarzy, wodnego kłusownika. Musi zginąć typ turysty rozkradającego zabytki kultury, siejącego wokół zniszczenie, intruza gorszącego swem wyuzdanem zachowaniem i swobodnym sposobem bycia wiejski lud. Wieś do dziś zachowała surowy, wiekową tradycją uświęcony obyczaj, swoisty „savoir vivre". Naigrawanie się z obyczaju wiejskiego, wnoszenie stylu „nowych ludzi", na wieś pogłębia antagonizm wsi i miasta, depopularyzuje turystykę wśród ludności wiejskiej, zamyka przed nią chaty i dusze.

Turysta wysokiej klasy, musi być krajoznawcą, społecznikiem.

W całym świecie turystycznym zagadnienie kultury turystycznej jest najbardziej aktualne. Najwybitniejsi działacze toczą polemiki, układają „kodeksy" turystyczne.

W starszych gałęziach turystyki, jak alpinizm, mamy sprawom tym poświęconą bogatą literaturę. Popularny aktor-filmowy Louis Trenker, znany dzięki kinu i swym pięknym książkom ułożył słynny już dziś zbiór przykazań alpinistycznych.

Wartość wszelkich kodeksów, szczególnie nie mających za sobą sankcyj karnych, jest względna, należy jednak przypuścić, że wśród „przestępców" turystycznych jest wielu takich, którzy nie zdają sobie nawet sprawy ze zła, jakie czynią. O ile rasowych barbarzyńców żaden kodeks nie naprawi, o tyle, — „mimowolnych" wielu da się nawrócić i z szkodników wychować na turystów, godnych tego miana.

Kultura turystyczna polega na właściwem ułożeniu stosunku turysty do przyrody, ludności i jej kultury, oraz towarzyszów.

Rasowy turysta nie jest jednostronny. Stara się poznać najróżnorodniejsze „smaki" turystyki. Będzie zarów-

no kajakowcem, jak i piechurem, żeglarzem i alpinistą, kolarzem i narciarzem Będzie się starał poznać całą skalę wzruszeń, jakich może doznać w obcowaniu z przyroda Stosunek do niej nie powinien być czysto zewnętrzny. Należy ją poznać. Obserwacja życia przyrody martwej i ożywionej, uzupełniona lekturą naukową i krajoznawczą, pozwala wejrzeć w „serce tajemnicy".

Stylem bycia na łonie przyrody musi być prostota. Jesteśmy cząstką przyrody, bynajmniej nie najpiękniejszym jej tworem. Należy konspirować swą obecność, zacierać ślady swych stóp. Człowiek wśród przyrody, szczególnie dziewiczej, jest intruzem. Skromny strój, spokojne zachowanie, znamionują prawdziwego turystę.

Prostota, to nie to samo, co prostactwo i nieokrzesanie. Być radosnym i silnym, to nie to samo, co być wrzaskliwym i brutalnym

Na szlaku nie należy być szkodnikiem. Łamanie gałęzi (majenie łodzi), deptanie łąk, niszczenie płotów, zrywanie owoców, łowienie bezprawne ryb, strzelanie „dla sportu" do ptactwa i zwierzyny, — to dowody barbarzyństwa.

Pamiętać należy również, że obok prawa gościnności istnieje prawo gospodarza. Turysta, zatrzymując się na terenie prywatnym, powinien prosić gospodarza o pozwolenie. W stosunku do ludu nie należy okazywać swej, najczęściej urojonej „pańskości", nie używać imperatywnego gburliwego tonu. Odnosić należy się zawsze przychylnie, serdecznie, w sposób budzący sympatję. Pogoda i humor znamionują turystę. Silenie się na „szmoncesy", co drugie słowo posiłkowanie się gwarą bohaterów Wiecha, to jednak dowód kulturalnego ubóstwa.

Za każdą przysługę należy ofiarować zapłatę, w razie odmowy jej przyjęcia, drobny poczęstunek papierosem, czy cukierkiem, uprzejme podziękowanie, zapiszą turystę na długo w pamięci gospodarza. Następcy napewno nie spotkają się wówczas z atmosferą nieufności.

Należy szanować i podporządkowywać się miejscowym obyczajom Wyzywający strój, zaczepianie dziewcząt, docinki, naśmiewanie się z czynności, a w szczególności z religijnych obrzędów, rodzi wrogi nastrój, a często nieprzewidzianą gwałtowną reakcję.

W stosunku do swych kolegów wycieczkowych i obcych turystów, należy również zachować właściwy styl.

Prawdziwy turysta nie chełpi się swemi wyczynami. Wobec rekordów ludzkich, są to rzeczy błahe. Nie klnie również na przeciwności i złą pogodę. Choć nieraz z żalem w sercu, znosi je po stoicku, filozoficznie, rad, że ma okazję wypróbować hart swego ciała i ducha.

Na szlaku obowiązuje wzajemna pomoc i uczynność. Wszyscy są obowiązani do wspólnej pracy, niema osób uprzywilejowanych. Ognisko jest symbolem „prywatności". Tak, jak ktoś nieproszony nie wchodzi do cudzego domu tak, bez zaprosin, nie może siadać do cudzego ogniska, przyłączać się do obozu, wycieczki. Ten pradawny zwyczaj jest często nieprzestrzegany przez początkujących.

*

Turystyka darzy nas bogatą gamą wzruszeń. Powracać do przyrody winniśmy w duchu miłości, wyzbyć się osobistych egocentrycznych nawyków i małostek, poddać się bez reszty, poczuć się cząstką, wpaść w harmonijny rytm natury, wczuć się w jej piękno i logikę „Powrót do natury" nie jest i nie może być abnegacją kultury. Nie wracamy przecie do niej, jak „tryglodyta", zasobni jesteśmy w „cywilizowany" sprzęt, namioty, śpiwory, primusy, składaki. Nie należy wyrzekać się ani zdobyczy higjeny, ani kultury towarzyskiej.

Powrót do natury polega nie na powrocie do [illegible] jaskiniowej, ale do ponownego nawiązania kontaktu [illegible] turą, która jest biologicznem tłem pełnego życia ludzkiego.

Kultura turystyczna wyraża się w tem, by potężnych środków, jakie dała nam cywilizacja, nie używać do gwałcenia dzieła rąk Boskich.. Chodzi wreszcie o to, by „ulepszając przyrodę nie zostać wreszcie sam na sam [illegible] jej trupem".

[illegible]



Żeglarze amerykańscy trenują na Olimpijkach w zatoce pod Los Angeles

Kajakiem po wodach polskich

Gdy z początkiem wiosny ocieplą się pierwsze dni, kiedy jeszcze drzewa stoją nagie, bezlistne, rozpoczyna się po naszych rzekach i jeziorach malowniczy sport wodny.

Rzeki pełne wody ze stopionych śniegów szumią złowieszczo, dla kajakowca nie są jednak postrachem, lecz dają radość i szczęście.

Widzimy łodzie wioślarskie, kajaki, jolki żaglowe, łodzie motorowe i t. d., na których młodzież wyjeżdża w świat, uśmiechnięta, słoneczna. Przewagę trzymają jednak kajaki (składaki), które w ostatnim czasie rozpowszechniły się bardzo. Wielką ich zaletą jest krótkie wyszkolenie. Wystarczy kilka godzin, żeby nauczyć się potrzebnych ruchów do kierowania kajakiem; w przeciwieństwie do łodzi wioślarskich, przy których fachowe wiosłowanie wymaga długo trwających żmudnych treningów.

Największą zaletą kajaka jest możność wybierania sobie rzeki lub jeziora odpowiadających naszym nastrojom. Możemy przenosić się z jednego końca Polski na drugi, bez żadnych trudności — kajak składamy do plecaków i koleją jedziemy tam, gdzie chcemy. Jadąc kajakiem, odświeżamy nerwy swoje, nabieramy nowych sił, chęci i pragnień.

Ponieważ jedziemy zawsze z prądem rzeki, więc pozwala się kajakowi płynąć na falach srebrno błyszczących, uderza się kilkaset razy wiosłami, potem znów odpoczywa, tak, jak się ma ochotę. Wschód, a szczególnie zachód słońca jest wprost czarujący. Czerwonawo złote poświaty kładą się na wodzie, mienią się i igrają, marszcząc powierzchnię rzeki. Czasem jedziemy korytem roztopionego złota. Przebywanie w czystem, świeżem powietrzu, zdrowa i nigdy nieprzemęczająca praca wioślarska, do tego wciąż się zmieniające widoki przyrody, które przechodzą obok kajakowca, to wszystko działa zachwycająco. Człowiek czuje się całkiem inny, swobodniejszy, weselszy, szczęśliwszy.

Spędzanie kilkutygodniowego urlopu w podróży kajakiem jest najlepiej wykorzystanym czasem dla zdrowego człowieka. Zapoznajemy się z pięknemi okolicami naszego kraju i wciąż otwierają się przed nami nowe milczące krajobrazy, których piechur nigdy nie zobaczy, gdyż nie wszystko jest dostępne dla pieszego turysty, a pozatem męczy praca mierzenia kilometrów nogami. Kajak zaś sunie po wodach, mijając przestrzenie setek, a nawet tysięcy kilometrów. Wpływa na spokojne, ciemne, leśne jeziora, które odcięte od świata odpoczywają, na których brzegach rzadko stopa ludzka bywała. Potem się znów dostanie do ociemniałego zakątka wodnego, w którym prześni gorącą porę obiadową.

Przepływa nasz kajak obok wesołych wiosek rybackich, obok miast starych, w których mury średniowiecznych zamków sięgają do brzegów rzeki, odzwierciadlając się w niej cudownie. Wisła, Dunajec, Dniestr, Soła, Biała Przemsza — jeziora: Gopło, Augustowskie, Narocz są niewyczerpanem bogactwem, krajobrazowemi pięknościami, które kajakowcom zawsze dają sposobność widzieć i przeżyć coś nowego.

Specjalnie ten sport wodny stwarza zasadniczą zmianę bytowania. Człowiek oderwawszy się od wszystkich obowiązków dnia powszedniego, prowadzi życie swobodne, pełne przygód. Dzieli czas swój według własnego upodobania, namiotuje, gdzie mu się podoba. Pozostaje, o ile mu to sprawia przyjemność, nawet cały dzień na jednem miejscu, na pięknej zielonej polanie, daje się szumem wody usypiać, albo patrzy w słońce i obserwuje igraszkę przechodzących chmur na niebie.

Rano wcześnie weźmie zimną kąpiel, spędzając dzień beztrosko, bawiąc się czasami, jak dziecko. A jak cudne są wieczory, gdy przed namiotem siedząc, pyka się fajkę— towarzysz (przeważnie towarzyszka) przygotowuje tymczasem ciepłą strawę, którą się spożywa z wielkim apetytem.

Pierwsze gwiazdy zjawiają się, gdzieś tam usłyszy się jeszcze spóźniony ostatni śpiew ptaszka z pobliskiego lasu, zdala słychać coraz silniej wieczorny koncert żab, który jak kołysanka uspasabia nas do snu. Czasem zasypiamy w noc czarną, zamroczoną przepełnioną ciszą i niepoko-

Naokoło jest jednak samotność, cud romantyki pochłania nas... czy może być coś piękniejszego.

Dla kajakowca największą uciechą jest podróż wodna, gdy wchodzi do swej łodzi, zapomina o wszelkich troskach, świeże siły przenikają go, czuje się znowu zbliżony do przyrody. Czuje się, jak pan świata i nie zamieniłby się z żadnym królem.

Fr. Mucha



Poświęcenie przystani kajakowej L. M. i K. na Serecie w Czortkowie

Propaganda siły

Wioślarstwo niemieckie otwarło swój sezon w dn. 7 kwietnia b. r. Nie byłem obecnym na tej uroczystości, ale słuchałem transmisji radjowej z tej ceremonji. Transmisję tę nadawał „Deutschlandsender" przez wszystkie stacje niemieckie i warto było jej posłuchać.

Przedewszystkiem więc sama karność całego zorganizowanego wioślarstwa niemieckiego. W dniu tym nie było ani jednego klubu wioślarskiego w Niemczech, któryby nie zorganizował uroczystego otwarcia, któryby nie zainstalował na swej przystani głośników transmitujących przemowy prezesa związku i Reichssportführera. Wszyscy wioślarze niemieccy stanęli jak jeden mąż na apel związku — wszystkie wioślarki dotrzymały kroku swym kolegom, mimo, że pogoda nie odpowiadała zbyt wymaganiom bardziej troskliwych o swe zdrowie wioślarzy.

150.000 osób według ogólnych obliczeń związku niemieckiego w dniu tym odpowiedziało na hasło, wydane przez Reichssportführera. 150.000 ludzi śpiewało hymn niemiecki i zapowiadało uroczyście, że w bież. sezonie dołożą wszelkich starań, aby odnieść zwycięstwo na regatach olimpijskich.

Mimowoli myślało się o naszej uroczystości, przewidzianej na rok bież. na dzień 28 kwietnia. Coprawda to uroczystość niemiecka miała swój podkład polityczny, którego nie ma nasza ceremonja. W przemowie Reichssportführera von Tschammer und Ostena słyszało się ciągle słowa nawiązujące do wskazań politycznych idei Hitlera, prezes Związku, czyli, jak to się teraz w Niemczech nazywa Führer — radca Pauli przemawiał z Saarbrücken, gdzie R. G. Saar obchodził swe 50-lecie, niemniej jednak ogrom tego całego obchodu wystawił świetne świadectwo wioślarstwu niemieckiemu.

Powróćmy do naszych stosunków. Wiemy, że myśl rzucona przed kilkoma laty urządzania wspólnie uroczystości otwarcia sezonu nie wszędzie przyjęła się tak, jak się tego spodziewano. W pewnych ośrodkach daje się zauważyć wogóle niechęć do organizowania tego rodzaju uroczystości, wielu wioślarzy uważa sobie wogóle za ujmę wzięcie udziału w defiladzie, podobnie zresztą, jak wielu nie uznaje wdziania w tym dniu czystej koszulki.

Już w r. ub. zwrócono uwagę na ten punkt dorocznego programu wioślarskiego — nazywając ten dzień propagandą słabości. Dzień otwarcia sezonu wioślarskiego w Niemczech był w całem tego słowa znaczeniu propagandą siły, był więc propagandą, którą warto organizować, bo musi przynieść owoce.

Nie chcę być pesymistą i ubiegać fakty, ale spodziewam się, że u nas ta uroczystość w niedzielę 28 b. m. wypadnie nieświetnie. Na Sejmiku zwracałem uwagę, że termin 28 kwietnia dla wielu naszych towarzystw będzie zawczesny, że wiele z nich nie wydąży z remontem łodzi, ustawieniem dobrego pomostu, nie mówiąc o tem, że nasi wioślarze w większości wypadków stronią od przystani w sezonie zimowym i pojawiają się na niej dopiero wtedy, gdy dobrze słońce przygrzewa.

Ze sportowego punktu widzenia dzień 28 kwietnia, jako dzień otwarcia sezonu jest oczywiście zapóźny. Ale musimy wziąć pod uwagę, że dla osad przygotowujących się do regat termin rozpoczęcia sezonu wypadł dużo wcześniej, oraz to, że dla tych osad otwarciem sezonu jest chwila podpisania deklaracji treningowej.

Dzień otwarcia sezonu, umieszczony w kalendarzu imprez ma więc znaczenie czysto zewnętrzne — ma znaczenie propagandowe. Nie klub ma ściągać na przystań swych członków, ale ci właśnie członkowie mają się stawić jaknajliczniej na przystani, aby swoją liczbą, postawą i zachowaniem się stanowić propagandę dla nowozaciężnych wioślarzy, którzy, widząc tak sprawnie działającą jednostkę sportową, napewno zechcą zasilić szeregi miejscowych towarzystw.

Jak więc widzimy uroczystość otwarcia sezonu nie może być improwizowaną. Zarząd klubu powinien dobrze zastanowić się nad programem uroczystości oraz ściągnięciem członków na przystań, tak, aby uroczystość ta wypadła jako prawdziwa propaganda wioślarstwa a nie jak śmieszny, niedowarzony popis garstki szaleńców, którzy niewiadomo poco i naco włóczą się po mieście.

Od wielu lat przejawia się niechęć do pochodów i defilad na mieście. Kto wie, czy ze sportowego stanowiska nie jest to nawet i nieco słuszne. Ostatecznie nie mamy zamiaru zachęcać kogokolwiek do spacerów po mieście, ale do wiosłowania. Ciężar więc uroczystości powinien być położony na samą ceremonję podniesienia flagi oraz na imprezy na wodzie.

Jeśli organizujemy już nabożeństwo, to nabożeństwo może odbyć się bez defilady po mieście. Pamiętać na-



Pokonana ósemka uniwersytetu Oxford

leży o jednem: a mianowicie o tem, że lepiej defilady nie urządzać, niż urządzać przemarsz małej, nielicznej garstki, ubranej do tego w bardzo różnolite i niedopasowane pseudomundury. Taka defilada oczywiście nie zjedna nam ani jednego nowego członka, a wprost przeciwnie może wzbudzić uśmiech politowania.

Natomiast ci, którzy dowodzą, że tego rodzaju uroczystości nie mają sensu powinni dołożyć tem większych starań, aby uroczystość organizowana na wodzie wypadła tem okazalej. Udała defilada kilkudziesięciu łodzi na rzece, jakiś fragment regat i t. d. napewno zwróci uwagę publiczności na wioślarzy, a wśród widzów znajdzie się niejeden, który zawędruje później na przystań i stanie się jednym z najgorliwszych członków klubu.

Dzisiaj w roku przedolimpijskim kluby powinny specjalnie troskliwie zabrać się do przygotowania tej uroczystości. Powinna ona mieć charakter naprawdę podniosły, powinna dowieść, że grupa wioślarzy jest małem społeczeństwem świadomem swych celów i zadań.

Program powinien zawierać krótkie, ale rzeczowe punkty. Żadnych długich przemówień. Wiemy, że w takich przemowieniach powtarzają się rzeczy po x razy — takie przemówienia stanowczo nie są właściwą propagandą sportu. Przemówienia wygłaszane na uroczystości sportowej powinny mieć sportowe zacięcie. Mówić więc należy krótko a mocno. — Po tych przemówieniach, które muszą być wygłoszone — podniesienie flagi — św. chrzest łodzi i defilada łodzi. Wyjazd ten powinien mieć charakter masowy, gdyż tylko taki wpłynie propagandowo na publiczność. W tym dniu każdy skarbnik powinien zrezygnować ze swych „praw" do członka, który nie płaci, powinno się wysyłać na wodę wszystkich — kogo tylko można.

Niemcy, jak wiemy, zorganizowali odrazu bieg długodystansowy (10 km.) Nie wiem czy obecny stan sportowy naszych wioślarzy umożliwi tego rodzaju imprezę, ale stwierdzam, że taki właśnie wyścig przez miasto ósemek a bodaj tylko czwórek posiadałby ogromne znaczenie. Domowy „Cambridge i Oxford" byłby bodaj najlepszą propagandą wioślarstwa.

Po tem wszystkiem nie należy zapominać o... przyjściu na przystań na drugi i trzeci dzień po otwarciu sezonu. Niestety tak u nas bywa, że nawet po dobrze zorganizowanej uroczystości przystań jeszcze przez długi czas świeci pustkami — dopóki czerwcowe słońce nie ściągnie największego piecucha na łódź.

Captain

Cambridge-Oxford

po raz 87

Londyn w kwietniu

Już w styczniu zaczynają się pokazywać pierwsze objawy „niebieskiej gorączki", która w lutym przybiera na sile, a w marcu dochodzi do punktu kulminacyjnego. Wszystkie gazety londyńskie i prowincjonalne zapełniają swoje szpalty długiemi wyciągami z opisu treningu osad uniwersyteckich Cambridge i Oxford. W tym okresie nic się nie ukryje przed oczami ciekawych dziennikarzy. Wywleką na światło dzienne, który z wioślarzy jest zaziębiony, a któremu nie smakuje djeta, który źle śpi, a którego martwi narzeczona. O wszystkiem musi wiedzieć tłum, który dzieli się na dwie partje. Nie są to jednak partje Whigów i Torysów, lecz partje ciemnoniebieskich i partje jasnoniebieskich.

Jasnoniebiescy, to Cambridge. Po wojnie wioślarstwo poszło ogromnie naprzód w Cambridge. Wystarczy powiedzieć, że tylko w r. 1933 wygrała osada Oxfordu. W innych latach na mecie w Mortlake zawsze pierwsza była osada Cambridge. Trzeba przyznać, że „Cantabs" są konsekwentni. Raz skierowani na drogę nowoczesnych metod treningowych przez Fairbairna, idą tą drogą coraz dalej i osiągają coraz lepsze wyniki. Metody te, to wyzwolenie z więzów dotychczas obowiązującego w Anglji ortodoksu i skierowanie wioślarzy na drogę swobodnego i dającego dużo więcej przyjemności stylu Fairbairna.

W tym roku Cambridge poszedł jeszcze dalej i wprowadził do swej łodzi dulki ruchome „francuskie". Kto zna konserwatyzm angielski, ten wie, co to znaczy. Inna rzecz, że inowacja ta stała się powodem przełomu w Cambridge. Dwaj dotychczasowi trenerzy-amatorzy Cambridge, zasłużeni panowie Haig Thomas i Escombe obrazili się i powiedzieli, że o ile inowacja ta nie zostanie wycofana, to oni składają swój urząd trenerów (Honorowych). Świetny wioślarz Bradley, który w r. ub. prowadził osadę jasnoniebieskich do zwycięstwa, a w r. bież. dzierży urząd prezydenta University Boat Club of Cambridge, uparł się przy swojem i orzekł, że jego osada pojedzie na dulkach ruchomych, na-



Zwycięska osada uniwersytetu Cambridge

wet, gdyby przyszło mu się rozstać z tak zasłużonymi pracownikami, jak Mr. Haig Thomas i Mr. Escombe. Powiedziawszy „A" musieli oni powiedzieć „B" i... opuścili Cambridge.

Skorzystał na tem Oxford, który natychmiast zaprosił ich do treningu swej osady. Propozycja została przyjęta, co oczywiście wpłynęło na zainteresowanie wyścigiem, ogół bowiem spodziewał się, że ci dwaj wytrawni trenerzy potrafią podciągnąć Oxford do poziomu Cambridge i... w ukryciu liczono na zwycięstwo „ciemnoniebieskich".

Cambridge więc po raz pierwszy zastosował dulki ruchome i posłużyło mu to znakomicie. Już w czasie treningu okazało się, że osada jest bardzo dobra, a szybkie postępy poniekąd zatrważały zwolenników Cambridge, którzy obawiali się, że osada zostanie przetrenowana. Miękki płynny styl robił wrażenie, jakgdyby wiosłowanie było szalenie łatwe i przyjemne.

Niestety, już w pierwszym okresie treningu ostra grypa postawiła Bradleya poza nawiasem biegu. Były pewne trudności z wyszukaniem następcy na odpowiedzialne to stanowisko, wreszcie jednak zdecydowano się powierzyć je Lauri'emu, który w r. ub. prowadził ósemkę Leander R. C. w Henley do zwycięstwa w biegu o Grand Challenge Cup. Wybór był trafny. Laurie nie jest wprawdzie wioślarzem o klasie Bradleya, niemniej okazał się dobrym, tembardziej, że posiadał za sobą doskonałego pomocnika w osobie Wilsona na nr. 2. Temu właśnie człowiekowi Cambridge zawdzięcza zwycięstwo w r. bież. On to wydłużał pociągnięcia Lauri'ego i wspomagał go na trudniejszych odcinkach trasy.

W Oxfordzie zdecydowano się powierzyć stanowisko szlakowego Sutcliffe'owi, który dzierżył je i w r. ub. Jest to bardzo dobry zawodnik, ale jeden nie pomoże, gdy siedmiu innych jest słabszych. Ponadto i w Oxfordzie były poważne trudności z dulkami. Haig Thomas dla ambicji postanowił trzymać się dulek angielskich „stałych". Tymczasem „przyjemniaczek" jeden potrafił w ciągu dwóch tygodni złamać cztery wiosła, a potem poszły jeszcze cztery. Był to Bankes na nr. 5. Osiem wioseł na treningu, to znaczyło, że podczas biegu może pójść dziewiąte wiosło, co byłoby równoznaczne z klęską. A przytem Bankes, to okaz wspaniałej siły, z którego trudno było zrezygnować. Zastosowano więc dulki Fletchera, które opierają się na kombinacji dulek stałych i dulek ruchomych. Okazały się one bardzo słabe tak, że na pierwszym wyjeździe aż siedmiu wioślarzy je złamało. Kombinowano więc dalej i wzmacniano je, zamiast poprostu wziąć te same dulki, co Cambridge. Mimo wszystko, upór i ambicja trenerów Oxfordu postawiły na swojem — Oxford jechał „ortodoksem" na „angielskich" dulkach, nie ulegając nowoczesnym wybrykom.

Osada Oxfordu, to dobrze wytrenowany oddział wojska — mówiono w Henley na ostatnim treningu. Obawiano się jednak, że, gdy oddziałowi temu zabraknie dowódcy w osobie trenera, który przecież nie może komenderować na wyścigu, to... oddział ten przegra. Tak się też stało.

Warunki atmosferyczne w dniach poprzedzających bieg nie były zbyt sprzyjające. Zimno, deszcz i wiatr pozbawiały wioślarzy jakiejkolwiek przyjemności z treningów. W dzień biegu nieco poprawiło się, ale, mimo to, wiał dość silny wiatr, który po jednej stronie wzburzał wielkie fale.

Londyn po staremu przygotowywał się do biegu. Wszędzie widziało się barwy niebieskie, jasne, albo ciemne. Sklepy, teatry, kina, wszystko stało pod znakiem tej stuletniej zgórą walki osad akademickich. Ale w tem wszystkiem dał się zauważyć przesyt. Przesyt zwycięstwami Cambridge. A gdy i w ostatnim okresie prasa doniosła, że Cambridge i w tym roku jest faworytem — zainteresowanie biegiem znacznie zmalało.

Mimo to, i tak tłumy, niewidziane na żadnej innej imprezie sportowej, liczące dobre kilkaset tysięcy ludzi, zgromadziły się na wybrzeżach Tamizy w dn. 6 kwietnia. Malkontenci twierdzili, że ludzi jest „mało", ponieważ niektóre miejsca na brzegach Tamizy na trasie biegu świeciły pustkami. Był to fakt dotychczas nienotowany.

Już przy losowaniu szczęście uśmiechnęło się do Cambridge. Wylosował on prawo wyboru brzegu. Bradley, jako prezes Klubu nie wahał się. Surrey — oto strona, po której pojedzie jego osada, bo tam fala jest mniejsza, a większe szanse na zwycięstwo.

O godz. 11 przedpołudniem obydwie osady przyjechały do Putney. Już wtedy stały tłumy ludzi na brzegach. Obydwie osady dokonały jeszcze jednego wyjazdu dla zbadania stanu łodzi. O godz. 2.35 p. p. Oxford pojawił się pierwszy na wodzie — gotowy do biegu. W dwie minuty później wyjeżdża także i Cambridge. Silny wiatr utrudnia obydwom osadom zaczepienie się o łodzie startowe, ale wreszcie wszystko jest gotowe. Kapitan Bourne, „stary „Oxonian", autor znanej książki o wioślarstwie, wypowiada sakramentalne: „are you ready—go!" i obydwie osady ruszają na bój.

Oxford miał nieco lepszy start. Po kilku uderzeniach jest o ułamek łodzi na przedzie. Niebawem jednak Cambridge wyrównuje tę różnicę i wysuwa się naprzód. Od tej chwili już nikt nie miał złudzeń. Cambridge i tym razem wygra. Wygra, bo jest lepszy, jest osadą doskonale zgraną i pewną swoich walorów. Po pierwszej minucie Cambridge jest o pół długości na przedzie — Oxford nie może sobie dać rady z falami — zwątpienie zaczyna wkradać się w serca wioślarzy, którzy walczą bez duszy. Cambridge, który na starcie jechał 10,19 i 37 uderzeń w pierwszej ćwierć, pół i całej minucie, wobec 9, 17 i 33 Oxfordu, teraz zmniejsza ilość uderzeń do 33, Oxford jedzie 30 uderzeń. Jego uderzenia są dłuższe, ale Cambridge wiosłuje lżej, a mocniej. Pod Craven Steps Cambridge ma czas 2:30 i już ma półtorej długości przewagi.

Na „Mile Post" Oxford natrafia na wzburzoną wodę i daje się całkowicie wytrącić z równowagi. Sutcliffe ma już tempo tylko 29 uderzeń, podczas, gdy Laurie nie spada poniżej 32. Pod Hammersmith Bridge Oxford wypływa na spokojniejszą wodę i zmniejsza nawet nieco dystans, dzielący go od przeciwników. Tempo Oxfordu spada na 28, podczas gdy Cambridge, wiosłując w tempie 31 uderzeń na minutę ma jeszcze 2 i 3/4 długości przewagi.

Pod Chiswick Steps Oxford znowu zasterował się i wpada na wzburzoną wodę, co znowu powiększa dystans między obydwoma łodziami. Cambridge ma tutaj 4 długości przewagi, a pod Barnes Bridge jedzie już spokojnie o 6 długości przed Oxfordem. Pod koniec wyścigu Oxford atakuje ofiarnie, udaje mu się odbić trzy długości, ale, gdy to zaczynało być niepokojące, Laurie lekko podrywa swą osadę do finiszu, powiększa tempo bez trudu do 36 uderzeń na minutę, odrabia półtorej długości i mija, jako zwycięzca, metę o cztery i pół długości przed Oxfordem w pięknym stylu. Czas 19:48 jest dużo gorszy od rekordu, ustanowionego w r. 1934 przez Cambridge, a wynoszącego 18:03. Oxford przejeżdża metę wyraźnie wyczerpany w czasie 20:02.

Tak więc Cambridge po raz 46, a po raz 12 z rzędu udowodnił swą wyższość nad Oxfordem. Osada Oxfordu ani przez moment nie była groźną dla jasno-niebieskich, ani przez chwilę nie wiosłowała tak pięknie, jak Cambridge, tak równo i płynnie. Uderzenia ciemnoniebieskich były porwane, a szczególnie wyróżnił się w tem „łamacz wioseł" Bankes.



Osady Cambridge-Oxford na finiszu

Bieg ten, to jedna wielka porażka zwolenników „Ortodoksu", porażka Bourne'a, Escombe'a i Haig Thomasa, a sukces Fairbairna i uczniów jego szkoły. Ale konserwatyzm angielski nie zna granic. Już po biegu Escombe oświadczył, że i tak ortodoks jest najlepszym stylem i gdyby udało się nauczyć ośmiu wioślarzy porządnie wiosłować ortodoksem, to wówczas niema osady, któraby mogła ich pokonać. Cała rzecz polega na tem, że jakoś nie można wyszukać takich ośmiu, którzy mogliby nauczyć się tego trudnego, a może tylko nieracjonalnego stylu.

Teraz pozostaje jedna tylko droga dla Oxfordu, jeśli chce jednak wyrównać swe szanse w walce z Cambridgem, a drogą tą jest: zwrócenie się do Fairbairna. Czy to nastąpi — odpowie nam na to pytanie rok 1936.

A teraz nieco cyfr. Pierwszy bieg Cambridge-Oxford został rozegrany w r. 1829. Od r. 1924 nieprzerwanie zwycięża Cambridge. W latach 1861 — 1869 i 1890 — 1898 miał podobną passę Oxford, wygrywając dwukrotnie po dziewięć razy z rzędu. W r. 1877 wydarzył się wypadek „dead-heath", obydwie osady równocześnie minęły metę. Prowadzący wówczas bieg Oxford złamał wiosło, co pozwoliło osadzie Cambridge dojść przeciwnika — brakło już czasu na minięcie.

Składy osad w r. b.: Cambridge: Bristow, Szilagyi, Kingsford, Powell, Kingsford II, Lonnon, Wilson i Laurie (szlakowy), Duckworth (sternik). Oxford: Hope, Winser, Tomlin, Bankes, Mynors, Couchman, Sciortino i Sutcliffe, (szlakowy), Bryan (sternik).

W Długoszewski.

Wioślarska drużyna olimpijska

Uchwałą Komitetu Wykonawczego została powołana do życia Drużyna Olimpijska. W skład jej weszli:

Borzuchowski, Seweryn, Antonowicz, Kobyliński dr. Filgner i Ślązak z Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego,

Braun, Broniec, Szrajda, Ciechanowski, Pasikowski i Ormanowski z Bydgoskiego Tow. Wioślarskiego,

Tyszer, Tuczyński, Czaplicki i Odziemski z Kaliskiego Tow. Wioślarskiego,

Kuryłłowicz i Leporowski z K. W. „04" Poznań,

Verey z AZS Kraków i Kepel z AZS Wilno.

Osady te poddano opiece specjalnie wyznaczonych „referentów" a mianowicie Warszawą opiekować się ma p. Gordziałkowski, Bydgoszczą dr Siemiątkowski, Poznaniem p. Garstecki a Kaliszem p. Sztark. Kierownikiem drużyny olimpijskiej jest Kapitan Związkowy p. W. Długoszewski z Krakowa.

W dziejach polskiego wioślarstwa jest to pierwszy wypadek, że przygotowuje się ekspedycję olimpijską na rok zgórą przed regatami olimpijskiemi. Inne państwa dawno tak robiły i nie żałowały tego. U nas doniedawna dawał się odczuć dziwny objaw, polegający na wyczekiwaniu na „cuda". Tymczasem życie nauczyło nas, że talenty nie rodzą się na kamieniu i że, aby wygrać jakiś bieg międzynarodowy, trzeba dobrze popracować, cóż dopiero mówić o wypadku, gdzie w grę wchodzi mistrzostwo olimpijskie?

Dlaczego drużyna olimpijska została utworzona? Chodziło tylko o przygotowanie pewnej liczby zawodników, którzy przy formowaniu osad olimpijskich przedewszystkiem wchodzą w rachubę. Zawodnicy ci nie będą więc wyrwani niejako z pośród klubu, którego są członkami. Nad ich postępami ma jedynie czuwać Kierownik drużyny, pomagać im w osiągnięciu lepszej formy, informować władze związkowe i P. K. Ol.o ich postępach, natomiast praca ich musi być oparta o klub.

Drużyna olimpijska z natury rzeczy nie jest organizacją stałą. Nie należy sobie wyobrażać, aby zawodnik, który figuruje na powyższej liście bezapelacyjnie musiał jechać na Olimpjadę, nie jest także powiedziane, żeby ten,

kogo dzisiaj na liście tej niema, nie miał się znaleść na niej jeszcze w tym roku, albo w następnym.

Zarówno Kapitan związkowy, jak i Komitet Wykonawczy zdają sobie sprawę z tego, że wśród wioślarzy naszych jest jeszcze dużo talentów, które zasługują na „awans" do drużyny olimpijskiej. Liczba jednak 20 zawodników została ustalona przez Komitet Olimpijski, który tem samem przejął niejako obowiązek opiekowania się tymi 20 wioślarzami i dostarczania im pomocy.

Komitet Wykonawczy P. Z. T. W. przewidział konieczność wyznaczenia „zastępców" członków drużyny, t. j. wioślarzy, którzy również powinni wejść do drużyny a nie weszli ze względu na ograniczenia. Takimi „zastępcami" zostali Łukaszewski z T. W. Płock, Tober z T. W. Włocławek, Janicki, Maciejeski, Hoffmann i Perliński z Kaliskiego Tow. Wioślarskiego. To samo, co powiedziano o członkach drużyny olimpijskiej tyczy się także i zastępców. Mogą oni być wymieniani i uzupełniani w miarę postępów.

Zdaję sobie sprawę z tego, że powyższy skład drużyny olimpijskiej wywoła tu i ówdzie zdziwienie może nawet i sprzeciwy. Należy te rzeczy jednak traktować bardzo spokojnie i rzeczowo. Komitet Olimpijski zażądał od PZTW wyznaczenia 20 zawodników do drużyny olimpijskiej i to w terminie bardzo wczesnym bo już 4 kwietnia. W tym terminie trudno było oprzeć się na czemś innem, jak tylko na wynikach ub. sezonu. W praktyce po porozumieniu się z klubami okazało się, że obliczenia władz związkowych nie minęły się ze stanem prac, że wszyscy przewidziani do drużyny olimpijskiej zawodnicy i w tym roku zaliczają się do czołowych sił swych towarzystw.

Jeżeli chodzi o walory osobiste poszczególnych członków to przedstawiają się one następująco:

Borzuchowski Ryszard rozpoczął startować w r. 1931, senjorem został w r. 1932, posiada zwycięstw: 16 w tem mistrzostwo Polski na czwórce bez sternika w r. 1934 Reprezentował Polskę w r. 1934 w Lucernie na mistrz. Europy na czwórce b. st., która odpadła w przedbiegach.

Seweryn Stanisław: rozpoczął startować w r. 1931, senjorem został w r. 1933, odniósł zwycięstw: 18 w tem mistrzostwo Polski na czwórce bez sternika w r. 1934. Reprezentował Polskę w r. 1934 w Lucernie na mistrz. Europy na czwórce bez ster., która odpadła w przedbiegach.

Antonowicz Mikołaj: rozpoczął startować w r. 1931, senjorem został w r. 1933, zwycięstw odniósł 9.

Kobyliński Edward: rozpoczął startować w r. 1928, senjorem został w r. 1929, zwycięstw odniósł: 15 w tem mistrzostwo Polski na czwórce ze sternikiem w r. 1933, a mistrzostwo Polski na czwórce bez sternika w r. 1934. Polskę reprezentował na regatach Olimpijskich w r. 1932 w Los Angeles, zdobywając trzecie miejsce i bronzowy medal olimpijski w czwórce ze sternikiem. W r. 1933 reprezentował Polskę na regatach o mistrzostwo Europy w Budapeszcie w czwórce ze sternikiem która odpadła w repeszażu. Wreszcie w r. 1934 reprezentował Polskę na mistrzostwach Europy w Lucernie na czwórce bez sternika, która odpadła w repeszażach.

Dr. Tilgner Damazy jest jednym z najczynniejszych polskich wioślarzy. Rozpoczął startować w r. 1925, senjorem został w r. 1926, na długie wiosła a w r. 1933 na krótkie wiosła. Zwycięstw posiada 24 w tem mistrzostwa Polski: w r. 1928 na czwórkach i ósemkach, w r. 1930 na czwórkach i ósemkach, w r. 1934 na dwójkach podwójnych. Polskę reprezentuje w r. 1930 na mistrz. Europy w Leodjum odpadając w biegu czwórek w półfinale.

Ślązak Janusz również posiada dużą przeszłość sportową. Rozpoczął startować w r. 1926, senjorem został w r. 1927, zwycięstw odniósł 19, w tem mistrzostwa Polski: w r. 1927 na ósemkach, w r. 1933 na czwórkach i dwójkach. Polskę reprezentował w r. 1929 na regatach olimpijskich w Amsterdamie w ósemce, która odpadła w międzybiegach, w r. 1932 w Los Angeles na dwójce, w której zajął drugie miejsce i na czwórce, która zajęła trzecie miejsce, oraz w r. 1933 na mistrz. Europy w Budapeszcie, gdzie w dwójkach zajął drugie miejsce w czwórkach zaś odpadł w przedbiegach.

Braun Jerzy to jedno z najlepszych polskich „wioseł". Rozpoczął startować w r. 1929, senjorem został w r. 1930, zwycięstw odniósł: 24, w tem zdobył mistrzostwo Polski: w r. 1929 na czwórce bez sternika, w r. 1933 na dwójce i na czwórce, w r. 1934 na czwórce i na ósemce. Polskę reprezentował w r. 1929 na mistrzostwach Europy w Bydgoszczy na czwórce bez sternika, która zajęła trzecie miejsce, w r. 1932 na regatach olimpijskich w Los Angeles na dwójce, która zajęła drugie miejsce i na czwórce, która zajęła trzecie miejsce, w r. 1933 na mistrz. Europy w Budapeszcie na dwójce, która zajęła drugie miejsce i na czwórce, która odpadła w przedbiegach, w r. 1934 w Lucernie na mistrz. Europy na czwórce, która zajęła szóste miejsce.

Broniec Eugenjusz to nowy talent, który narazie jest nowicjuszem i ma poza sobą jedno zwycięstwo. Dobre warunki fizyczne wróżą mu dobrą przyszłość sportową, tem więcej, że będzie startował w gronie doświadczonych kolegów z Bydgoskiego Tow. Wiośl.

Szrajda Tadeusz rozpoczął startować w r. 1930, senjorem został w r. 1931. Zwycięstw odniósł: 18, w tem mistrzostwo Polski. w r. 1933 na ósemkach, w r. 1934 na czwórkach i ósemkach. Polskę reprezentował w r. 1934 na mistrz. Europy w Lucernie, gdzie jego czwórka zajęła szóste miejsce.

Ciechanowski M. zaczął startować w r. 1930, senjorem został w r. 1933, zwycięstw odniósł: 11, w tem mistrzostwo Polski w r. 1933 na ósemkach i w r. 1934 na czwórkach i ósemkach. Polskę reprezentował w r. 1934 na mistrz. Europy w Lucernie na czwórce, która zajęła szóste miejsce.

Pasikowski Dołęga Maurycy to jedna z młodszych sił. Rozpoczął startować w r. 1934, odnosząc trzy zwycięstwa w tem mistrzostwo Polski na ósemkach.

Ormanowski Bernard to znów jeden ze starszych „asów". Rozpoczął startować w r. 1926, senjorem został w r. 1929, zwycięstw posiada: 21, w tem mistrzostwa Polski: w r. 1932 na czwórce bez sternika, w r. 1933 na ósemkach, w r. 1934 na ósemkach. Polskę reprezentował na regatach olimpijskich w r. 1928 w Amsterdamie zajmując trzecie miejsce w biegu czwórek.

Czwórka Kaliskiego Tow. Wiośl. składa się z młodych zawodników.

Tyszer Teodor, rozpoczął startować w r. ub. i odniósł 13 zwycięstw.

Tuczyński Zygmunt również rozpoczął startować w r. ub. i odniósł 13 zwycięstw,

Odziemski Ryszard rozpoczął startować w r. ub. i odniósł 12 zwycięstw,

Czaplicki Teodor rozpoczął startować w r. 1933, odniósł zwycięstw 13. Wszyscy czterej zostali obecnie senjorami.

Dwójka poznańska to para doświadczonych asów.

Leporowski Witold rozpoczął startować w r. 1927, senjorem został w r. 1928. Zwycięstw posiada 42, która to liczba jest chyba rekordową w polskiem wioślarstwie. Drugi rekord to liczba mistrzostw Polski zdobytych przez Leporowskiego. Tytułów tych jest na jego liście 13, a to w r. 1928 na czwórce i ósemce, w r. 1929 na czwórce i ó-



Wachlarz berlińskich wioślarek podczas otwarcia sezonu w Grünau

semce, w r. 1930 na czwórce i ósemce, w r. 1931 na czwórce i ósemce, w r. 1932 na czwórce i ósemce, w r. 1933 na czwórce bez sternika, w r. 1934 na dwójce i na dwójce bez sternika. Polskę Leporowski reprezentował również często, w r. 1929 na mistrz. Europy jest trzecim w ósemkach: w r. 1930 w Leodjum jego czwórka odpada w półfinale mistrzostw Europy, w r. 1931 w Paryżu jego czwórka odpada w przedbiegach, w r. 1932 w Belgradzie zajmuje na ósemce czwarte miejsce, w r. 1933 w Budapeszcie jego czwórka bez sternika odpada w repeszażu, w r. 1934 w Lucernie na dwójce zajmuje czwarte miejsce w finale. Jak widzimy jest to niepowszednia karjera sportowa, wysuwająca Leporowskiego na czołowe miejsce wśród polskich wioślarzy.

Kuryłłowicz Stanisław rozpoczął startować w r. 1930, senjorem został w r. 1934. Zwycięstw odniósł: 9, w tem mistrzostwa Polski na dwójkach i dwójkach bez sternika. Polskę reprezentował w Lucernie na mistrz. Europy, gdzie wraz z Leporowskim zajął czwarte miejsce w finale dwójek.

Verey Roger to jedna z naszych największych nadziei na regaty olimpijskie. Rozpoczął on startować w r. 1930, rok później jest senjorem. Zwycięstw odniósł 16, w tem mistrzostwo Polski na jedynkach w latach 1931, 1932, 1933, 1934, i na dwójce podwójnej w r. 1932. Polskę reprezentował w r. 1932 na mistrz. Europy w Belgradzie, gdzie na dwójce podwójnej zajął wraz z Ustupskim trzecie miejsce, zaś w jedynkach został wycofany, w r. 1933 w Budapeszcie zdobywa najzaszczytniejszy tytuł wioślarski — mistrza Europy na jedynce, w r. 1934 jest drugim na jedynce w mistrz. Europy w Lucernie. Dysponując świetnemi warunkami fizycznemi, a będąc bardzo młodym ma Verey przed sobą otwartą wielką karjerę sportową, która napewno będzie też jego udziałem.

Wreszcie ostatni nasz „olimpijczyk" — **Jerzy Kepel** jest wielką nadzieją w zakresie krótkich wioseł, choć także ma dobre wyniki na długich wiosłach. Rozpoczął startować w r. 1932, odnosząc 16 zwycięstw, przeważnie na jedynkach. W r. ub. odniósł cenne zwycięstwo w biegu międzynarodowym w Rydze.

Jak więc widzimy wybrano z licznych szeregów wioślarskich siły najlepsze. Wybrańcy muszą sobie zdać sprawę z ogromu odpowiedzialności i zadania, jaki na nich spoczywa. Nie wolno im zawieść pokładanych w nich nadziei. Muszą oni dołożyć wszelkich starań, aby polska flaga powiała na głównym maszcie zwycięzców na regatach olimpijskich w Grünau. Czeka ich praca nielada, ale nagroda za tę pracę czeka także wielka — laur olimpijski.

W. Długoszewski

Przygotowania gospodarzy Olimpjady

W Niemczech wre praca nad przygotowaniem terenów do Olimpjady. Przyszli gospodarze tej wielkiej międzynarodowej imprezy wytężają swoje siły niztylko w kierunku boisk, basenów i torów, ale również starają się o stworzenie dla zawodników jaknajlepszych warunków życia podczas rozgrywek, żeby mogli oddać się w zupełności działalności sportowej, wolni od troski o szukanie odpowiedniego pomieszczenia dla siebie i sprzętu, a po skończonej pracy mogli odpocząć i sprzęt swój zakonserwować.

Wśród tych przygotowań, na szczególną uwagę żeglarzy zasługuje okazały gmach w Kilonji, którego budowa postępuje raźnie i jest nadzieja, że już zawodnicy tegorocznego „Tygodnia Kilońskiego" znajdą w nim pomieszczenie. Gmach ten, zwany „Olympiaheim", będzie najnowocześniejszym „hotelem" żeglarskim, a wśród jego urządzeń jest wiele takich, o których należałoby pamiętać i u nas przy budowie nowych lokali klubowych lub modernizowaniu i rozszerzaniu już istniejących.

Zarząd miasta Kilonji, dla którego wielkie imprezy żeglarskie, jak „Kielerwoche" i Olimpjada, są bardzo pożądane, gdyż ściągają mnóstwo przyjezdnych z kraju i zagranicy, nie szczędzi kosztów i pracy, żeby stworzyć dla swoich gości jaknajlepsze warunki.

Już podczas zeszłorocznego tygodnia kilońskiego mieliśmy sposobność podziwiać obszerny i wygodny port jachtowy, „Olympiahafen", znany naszym czytelnikom z fotografji, które „Sport Wodny" reprodukował. Oprócz tego basenu portowego w zatoce wewnętrznej, t. zw. „Kielerförde", wybudowało miasto i drugi port w Düsterbrook, dla jachtów, które regatowały na zatoce zewnętrznej (Aussenförde). W ten sposób problem pomieszczenia wielkiej ilości jachtów — a było ich w zeszłym roku zgórą 500 — został pomyślnie rozwiązany. Gorzej było z pomieszczeniem żeglarzy. Dzięki znakomitej organizacji i wyzyskaniu wszystkich możliwości miejscowych, także i ta kwestja była bardzo dobrze załatwiona, ale pozostały pewne niedogodności, których i najlepsza organizacja przezwyciężyć nie była w stanie, gdyż trudno wymagać cudów. Niedogodność polegała głównie na tem, że trudno było nieraz nawet zawodników jednej grupy pomieścić razem, w bliskości ich jachtów i sprzętu.

Budowany obecnie „Olympiaheim" ma na celu usunięcie i tych także niedogodności.

Widok tego „hotelu" żeglarskiego podajemy poniżej, według „Die Yacht".

Gmach stać będzie na nadbrzeżu Hindenburga w ten sposób, że widok z niego roztaczać się będzie na północny-wschód, a więc na główne tereny zawodów.

Budynek główny będzie miał 24,45 m długości i 14,50 m szerokości, skrzydło zaś 35,40 m długości i 9,45 m szerokości. Budynek jest obliczony na wygodne pomieszczenie 130 do 150 żeglarzy. Na pierwszem piętrze głównego budynku będą wspólne lokale, t. zn. sala jadalna, służąca również do zebrań, druga mniejsza sala, czytelnia, bar, garderoba, kuchnia etc. Duży taras z widokiem na zatokę znajduje się po stronie wschodniej głównego budynku.

W skrzydle mieszczą się na pierwszem piętrze tualety, prysznice i 17 pokoi pojedyńczych wielkości 2,5×3,0 m, oraz cztery większe pokoje dwuosobowe. Na drugiem piętrze będzie 39 pokoi jednoosobowych 2,5×5,0 m i cztery pokoje dwuosobowe, to samo na poddaszu. Naturalnie, na każdem piętrze są umywalnie i prysznice.

Na szczególną uwagę zasługuje urządzenie parteru.

Licząc się z tem, że dziś samochód staje się coraz powszechniejszym środkiem lokomocji (coprawda nie u nas!) i wielu żeglarzy przyjeżdża do Kilonji własnemi samochodami, przewidziano na parterze głównego budynku obszerne garaże. Na parterze mieści się również biuro regatowe, urząd pocztowy (15×3 m), lokal tej samej wielkości przeznaczony do suszenia żagli oraz lokal o 16 m² powierzchni [illegible] przeznaczony do suszenia mokrej odzieży. Wreszcie znajdujemy na parterze salę o 60 m² powierzchni, w której żeglarze będą mogli przechowywać maszty, sztengi i żagle rezerwowe i t. p.

Trzeba przyznać, że rozplanowanie tego schroniska żeglarskiego jest bardzo szczęśliwe, a szczególnie suszarnie żagli i ubrań, oraz magazyn na części zapasowe znajdą z pewnością uznanie zawodników „Tygodnia Kilońskiego" i Olympiady, gdyż brak takich urządzeń dawał się dotychczas nieprzyjemnie odczuwać, o czem mogliby niejedno powiedzieć nasi zeszłoroczni kilońscy zawodnicy.

Czesław Petelenz.



Hotel dla żeglarzy w Kilonji

Na wszystkich rumbach

Daję ten tytuł opisowi ciężkiego powrotu z regat Visbyańskich w domowe pielesze... do macierzystej Gdyni, gdyż chwycona w szpony niezgorszego sztormu, chodziła nasza admiralska „Temida I" kolejno wszystkiemi możliwemi kursami — oprócz czystego Nordu — po zagniewanych rozłogach Bałtyku pomiędzy południowym cyplem Gotlandu, a Rozewiem.

Musieliśmy nawet zastosować „ultima ratio" żeglarskie i ratować nasz okazały szkuner, strach powiedzieć... na dryfkotwie.

•

„Grota staw! Fok i kliwer staw!" — padają głośne komendy oficerów, dowodzących wachtami. Usiłują przekrzyczeć „świeżą" morkę, gwiżdżącą w olinowaniu. Na pokładzie zwróconej dziobem na wiatr „Temidy" uwija się raźno cała załoga. Majestatycznie kołysze się na grzywiastych barankach piękny szkuner-jacht, wyholowany tylko co z ciasnego portu visbiańskiego na wolny przestwór Bałtyku. Potężny, pękaty „Thor", żywcem przypominający naszego gdyńskiego „Żubra", oddala się, żegnany salutem banderowym. Ogromny grot-żagiel pełznie już dostojnie hen po 20 i paro-metrowym maszcie, przednie żagle łopocą też wesoło na sztagach. Sunie grot na pełzaczach po żelaznej szynie, nie do samego topu (szczytu) jednak wielkiego masztu, o nie!

Z rozkazu kapitana bierzemy odrazu 2 refy na grocie: wiatr szkwalisty nie na żarty. Wreszcie i na śródokręciu wzbija się czwarty z kolei żagiel, t. zw. sztaksel. Stalowy fał jego biegnie z przedniej strony wielkiego masztu, nawijany na bęben specjalną korbą, wybitnie pechową dla... niektórych mężnych żeglarzy. Ale o tem, potem.



Żaglowce w porcie Visby

Fot. J. Górski

Bractwo robi porządek na pokładzie i wachtami schodzi do messy, gdzie ponętne zapachy kuchenne świadczą niezbicie, że kok spietrasił już obiad.

Niewesoło zato wachcie służbowej tam na górze. Porywisty WSW (zachodni południowo-zachód) dmie z rosnącą siłą. Wieczorem przekracza siłę 6 stopni na 12 możliwych (w skali Beauforta). Barometr niski: coś 748 mm. zaledwie. Sprawa jasna... nadciąga sztorm!

Szkuner w silnych przechyłach na lewą burtę ciężko wspina się na grzywiaste wały. Po niebie kotłują się ciemne, groźne zwały chmur. Idziemy w ćwierć wiatru z szybkością 5 węzłów. Otóż i jasny pęk światła z latarni Hoborgu u południowego cypla Gotlandu. Skaliste wysepki Lila i Stora Karlso zostały już za rufą „Temidy". Koniec kursom pilotowym: Hoborg na lewym trawersie o godzinie „trzy na drugą" w nocy. Teraz mamy pełnomorski odcinek swego szlaku: skok przez serce Bałtyku ku ojczystemu Rozewiu.

Nawigacyjny sprawdza pozycję jachtu i wylicza kurs ku dalekiej latarni polskiej. „Temida" kładzie się na rumb S½O (Süd pół Osta — 175°, licząc od północy ruchem wskazówki zegarowej). Kurs kompasowy — prawie wprost na południe. Z chwilą mijania latarni Hoborgskiej z rufy „Temidy" leci w morze mosiężny propellerek logu. Liczy on nam mile przebyte, obracając specjalny mechanizm zegarowy.

Nie chcemy rozwijać całej szybkości jachtu: nasi koledzy na małych slupach („Kneź" i staruszek „Witeź"), żeglują społem. Mamy trzymać się razem. W nocy, rzecz prosta, tracimy się wzajemnie z oczu.

Ranek przynosi nam obrót wiatru na rumb SSO (południowy południowo-wschód). Nie możemy już iść kursem 175° (na Rozewie) i „Temida" kładzie się na bardziej wschodni, coś około 115°. Mimo słabnącego nieco wiatru, rozkołysane potężnie łono Bałtyku huśta szkaradnie nasz szkuner na grzywiastych wałach.

Napróżno wytężamy wzrok, by dojrzeć biały żagielek „Witezia" lub „Knezia". Wokół pustynia wodna i jeno pieniste grzywy fal idą hen od widnokręgu, niczem niezliczone tyraljery piechotne.

Druga noc na morzu otula „Temidę" czarnym kirem nocy.

Na wygodnych kojach leżymy w ubraniach w myśl rozkazu gen. Zaruskiego: „Podwachta, nie rozbierać się... do rosołu!" Drzemiąc jednem okiem, oczekujemy każdej chwili alarmu, wzywającego na pomoc wachcie służbowej.

Obok mej górnej koi huśta się miarowo przyćmiona nieco lampa. Dnieje... blade światło brzasku sączy się przez otwarte drzwi messy i świetlik w pulapie.

Raptem piekielny przechył kładzie „Temidę" na lewą burtę. Jakaś siła niesamowita (poprostu grawitacja powszechna.) przyciska mnie do ściany bakbortowej, a lampa zawisa nagle wprost nad moją głową i omal nie tłucze się o sufit messy....

Przez otwarty właz wdziera się wycie szkwału i gwar ochrypłych głosów.

Lecz nasz dzielny szkuner wstaje po chwili, a nad głowami słyszymy łomotanie licznych stóp o klepki pokładu. To wachta mocuje się z jakiemś płótnem..

Trudna rada, trzeba iść w sukurs kamratom, choć alarmowego okrzyku: „Podwachta na pomoc!" — jakoś nie słychać.

Nieprzemakalne „gumiaki", rozwieszone u kojek, idą w ruch. Zataczając się wprawo i lewo razem z naszą „Temidą", wciągamy ten ekwipunek sztormowy na grzeszne ciała. Nagle u drzwi kajuty staje nasz „Mistrz Korbka" (operator filmowy), niczem posąg rozpaczy z wzniesionemi nad głową ramiony:

„Zerwało żagiel! Olek zemdlał!" — woła od progu grobowym głosem.

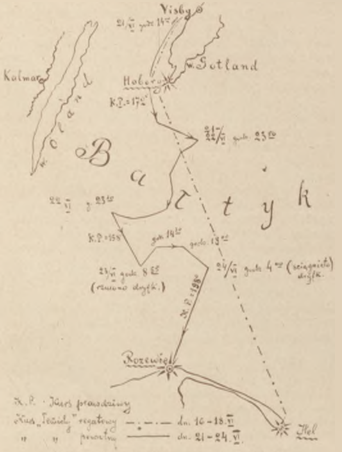
Wypadamy na pokład.

Tak, coś niedobrego... bezwładne ciało II-go oficera „Temidy" tarza się u stóp grot-masztu, ktoś tam potrząsa jego zwisającą głową o zmierzwionej płowej czuprynie. Charakterystyczne łopotanie płócien odwraca mą uwagę ku dziobowi jachtu. Strzępy fok-żagla trzepoczą się bezradnie na sztagu, szarpane uderzeniami szkwału. Cała wachta, wczepiona pazurami w rwący się na mocarnych podmuchach sztaksel, usiłuje przydusić wielkie płótnisko [illegible]

„Troczyć sztaksel!" — krzyczę w ucho gramolącym się po schodkach kolegom z podwachty. Rozumieją zresztą to sami... Po zawziętych zapasach wręcz (na kołyszącym się szpetnie pod nogami daszku messy) zgodnym wysiłkiem dusimy sztaksel wdół, trocząc go zaraz krawatami do bomu.

Z kolei idą precz smętne strzępy foka, a na jego miejsce wciągamy zaraz fok sztormowy (z najgrubszego płótna).

Tymczasem kontuzjowany, jak się okazało, a nie zabity jak myśleli niektórzy, II-gi oficer schodzi do messy na opatrunek. Jedna z dzielnych koleżanek po żaglu p. M. Ż. bandażuje mu szpetnie spuchniętą szczękę. Dostrzegł on w ostatniej chwili nadbiegający szkwał i skomenderował: „Sztaksel precz!" W tejże chwili uderzył wicher o sile (około 10 stopni!) i zwalił „Temidę" burtą na wodę. Gdy wachta odbezpieczała stoper sztaksel-fału, a sam oficer wachtowy trzymał za korbę, uderzenie szkwału szarpnęło



Droga „Temidy I" w sztormie 22—24.VI

tak potężnie żaglem, że rączka korby trzasnęła z rozmachem nieboraka w szczękę.

Był to klasyczny „knock-out"...

Z rozkazu generała obejmuję niezwłocznie komendę nad II-ą wachtą i zapisuję cały ten dramat szczegółowo w dzienniku „Temidy". Szkwał o sile 10° spotkałem wtedy po raz pierwszy na Bałtyku.

Podczas mej wachty rozwidniało do reszty. Zasępione... groźne morze ciska w nas z niesamowitą regularnością szmaragdowemi pagórami. Nieskończona tyraljera pienistych grzebieni furie jedna za drugą hen od krańców horyzontu. A wszystkie, zda się, prosto na „Temidę".

Bukszpryt szkunera nurza się głęboko w spienionych odmętach. Grzywacze szorują raz po raz wzdłuż pokładu...

Wkrótce drze się nam fok sztormowy. Pod kliwrem już tylko i zarefowanym grotem pchamy się wytrwale ku brzegom Polski, lawirując przeciwko sztormowi.

Zależni całkowicie od kierunku wiatru, po przejściowem zwróceniu się na zachód nawigujemy znów na SO (kurs 158°), aż wreszcie dla dania wypoczynku przemęczonej załodze, a przedewszystkiem oszczędzenia takielunku i nadwyrężonego już ożaglenia, rzucamy z rozkazu kapitana pływającą kotwicę vel dryfkotwę.

Można sobie na to pozwolić. Jesteśmy w samem sercu Bałtyku: „sto mil od brzegu, sto mil przed brzegiem" — jak pięknie wyraził się Słowacki. Luzu manewrowego do-[illegible]

Admiralska „Temida" staje oto po raz pierwszy na dryfkotwie w swej karjerze nawigacyjnej, pod banderą polską.

Cieszymy się nadzieją, że ustaną wnet nieznośne przechyły, wyszarpujące prawie trzewia człekowi z jamy brzu-[illegible]

Na pływającej kotwicy, jak wiadomo, jacht wylata tylko w górę i opada razem z falą, ale kiwanie na boki ustaje całkowicie.

Jacht na dryfkotwie ustawić się powinien bezpiecznie 3—4 rumbów do wiatru, a pod parciem tegoż na „patyki" (maszty w gwarze żeglarskiej) i olinowanie cofać się powoli rufą naprzód w kierunku fali.

Rolę „steru powietrznego", utrzymującego nas mniej więcej w linji wiatru, do czego na jolach i keczach nadaje się doskonale bezan-żagiel, na „Temidzie I" odgrywać musiał wzięty na 2 refy grot. Taki żagiel, t. zw. kotwiczny, odrzuca automatycznie rufę jachtu wstecz, skoro tylko kadłub zaczyna wykręcać się bokiem do fali, stając w położeniu niebezpiecznem.

Była prawie 9 rano, gdy dryfkotwa, obciążona w braku ołowiu bryłą węgla (z kuchni), poszła ostrożnie za burtę. Linę od tarcia o kluzę burtową i sztag wodny zabezpieczyło się starannie „oklajdowaniem" (okręceniem szmatami i obwiązaniem szpagatem smołowcowym).

Manewr wypadł nam nieszczególnie. Podczas spuszczania kliwra (przy stawaniu na dryfkotwie idą wszystkie żagle „precz", prócz t. zw. kotwicznego na rufie) uderzył raptownie szkwał i w okamgnieniu z hukiem, przypominającym wystrzał z garłacza, rozleciał się nieborak kliwer dosłownie w strzępy.

Nadzieje na „likwidację" przechyłów bocznych okazały się zwodnicze. „Temida" pod zbyt wielkim żaglem kotwicznym (grotem) nabierała chwilami biegu naprzód: lina dryfkotwy, zamiast „patrzeć" na nas od dziobu, krzyżowała się niekiedy z osią podłużną jachtu pod kątem... prostym!

Szkuner szedł wtedy lekko naprzód, wlokąc dryfkotwę bokiem ze sobą...

Rozkazał więc generał Zaruski wziąć 3-ci ref na grocie (godz. 13-ta), a niebawem i czwarty. Grot skurczył się do liliputich rozmiarów, niczem nędzny jakiś sztaksel.



Podczas burzy — chwila pełna grozy

W trakcie tego, jeden z kolegów, inżynier-mechanik z profesji, zaczął lustrować mechanizm sterowy, który raz już nam „nawalił" podczas majowego sztormu na Stolpe Bank. Niepokojące odkrycie, trzon steru znów obluzowany!

Carramba!

Sruby, przytwierdzające głowicę do trzonu, ruszają się, jak... w maśle, w starem przegniłem drewnie. Co będzie, gdy po przetrzymaniu, daj Boże, sztormu, wypadnie iść pod żaglami?

Generał wysłuchał hiobowego raportu, pokiwał smętnie głową nad zbutwiałym trzonem i zarządził szykowanie improwizowanego steru, t. zw. „bridla".

„Bridel" — to szalupa vel bąk, opasana parokrotnie liną dookoła i napełniona częściowo wodą. Holuje się ją na dwuch cumach za jachtem, a cumy mocuje do bryfok-rei, postawionej wpoprzek rufy szkunera. Wybierając prawą lub lewą cumę, można od biedy sterować bez steru.

Wiatr znowu wykręca z **SW** na **W**, dryfuje nas teraz wprost na **O.** Trwa to od godz. 14.30 do 18-ej. Mierzymy szybkość dryfu, t. zw. logiem burtowym (rzucając kawałki drewna na wodę): wynosi ona około 1 węzła. Pod wieczór mamy znów wiatr z **NW** i dryfujemy na **SO.** Wreszcie w ciągu trzeciej nocy (23—24.VI) humor Neptuna wybitnie zmienia się na lepsze: znudziło mu się snać miotać na „Temidę" modro-zielone wały ze zwichrzonemi czuby. Dobra nasza! Ściągać dryfkotwę! Okazało się teraz, dlaczego „Temida" źle stała na kotwicy: worek płócienny został rozdarty na całej długości od owej bryły węgla.

Nie dziwota, że nie mógł utrzymać potężnego szkunera dziobem do fali.

Z satysfakcją wpisujemy w dzienniku: „stoją K, F i G (zarefowany)" (skróty oznaczają żagle: kliwer, fok i grot).

Jesteśmy znów żaglowcem, mogącym manewrować. Hurra! Bogu dzięki, ster, acz rozklekotany w łożyskach, działa, jako tako. Określamy się i... kurs na Rozewie. Przed 8-ą rano wesoły okrzyk: „Ląd na kursie!" Ląd który „okazał się być" — Rozewiem.

R. Niewiadomski

Okręty nieznanych przygód

Opisy, których garść rzucam na papier nie zdołają napewno odtworzyć piękna okolic podzwrotnikowych, ani pełnej dziwów malowniczości dalekich krajów, gdyż słowa są tylko ubogim zastępcą dobrej fotografji. Podróże są jedną z milszych form wypoczynku, która łączy rozrywkę z wzbogaceniem naszego wykształcenia, a najmilsze chyba są podróże morskie, na „okrętach nieznanych przygód". Bogactwo i różnorodność wrażeń stanowią wyjątkowy urok tych podróży — każdy okręt posiada swoiste cechy odróżniające go od innych. Na pięćdziesięciu okrętach, którymi w ciągu dziesięciu lat snułem się po błękitnych wodach, nie pamiętam dwóch jednakowych momentów podróży.

Okręt dla podróżnika zmienia się w pływający dom — wspomnienie życia na lądzie zasnuwa się mgłą i oddala — towarzysze podróży stają się dobrymi znajomymi. Kąpiele w basenie okrętowym, wspólne posiłki, gry towarzyskie i tańce wytwarzają wkrótce nastrój przyjaznego współżycia, w którym czas upływa szybko i miłe.

Aby pomnożyć przyjemności takiej wycieczki, trzeba ją sobie zgóry uplanować i wybrać kierunek najbardziej nas interesujący; wczesna decyzja zapewnia nam uniknięcie niewygód i wzbogaca nas o rozkosz chwil oczekiwania.

Okrążywszy dwukrotnie ziemię znam wszystkie okoliczności, nad którymi zastanawiają się nowicjusze — przypuszczenie, że światowa podróż okrętem męczy, jest nieistotne, gdyż podróż ta jest przecież wielokrotnie przerywana długiemi postojami w odpowiednich punktach. Wydatki zaś z tem związane nie mogą się mierzyć z wartością przeżyć i doznań, których pamięć pozostaje na całe życie. Nie wszystkie ze zwiedzanych krajów odpowiedzą naszym oczekiwaniom, a zdarzają się również konieczności zatrzymania okrętu w punktach mniej ciekawych, całość jednak pozostawia niezatarte wrażenie.

Ostatnio, kiedy przepływaliśmy południowy Atlantyk, pewnego wieczora zajaśniała w całej wspaniałości tęcza księżycowa o wszystkich barwach z wyjątkiem czerwieni. Jest ona podobno zapowiedzią burzliwej pogody, wówczas jednak skończyło się na ostrzejszym wietrze, pod którym sfałdowało się morze błękitne, skrzące od słońca i mnóstwa latających ryb.

Inną osobliwością mórz południowych jest „zielona zorza"; niekiedy po zapadnięciu słońca poniżej horyzontu zapalają się snopy blado szmaragdowych promieni, jakby rzuconych olbrzymim reflektorem. Z tak bajeczną grą barw jak na morzach południowych trudno spotkać się gdziekolwiek indziej.

W chwili gdy północna Europa tonie w chłodnej szarości, lśni szafirem powierzchnia wód opływających Antylle. Wyspy te posiadają piękne pobrzeża pełne palm, omywane ciepłemi falami o niebywałej przejrzystości i prawdziwą przyjemnością jest kąpiel w tych wodach i odpoczynek na złocistych piaskach plaży. Ciekawą atrakcją są miłe osady i miasteczka jaskrawo przybranych murzynów. Havana stolica Kuby posiada szereg imponujących i pięknych, godnych zwiedzenia gmachów, a także wytwornie, nowocześnie urządzone plaże, kawiarnie, kasyno gry i kabarety — ciekawą jest duża dzielnica chińska. Zwiedzający ma czem wypełnić czas aż do chwili, gdy gwiazdy bledną. Nassau — mały klejnot tych wysepek pełna jest białoczerwonych willi wśród zieleni palm — jej atrakcją są sklepy wyrobów z szyldkretu, pereł, korali i gąbek. Tam też można ze stateczków o szklanem dnie oglądać bajeczne podmorskie ogrody i zakosztować kąpieli wodnej i słonecznej na plaży zwanej „Rajem".

Szereg takich wycieczek, emocjonująca obserwacja połowu rekinów — dają pełnię niezapomnianych wrażeń.

Dopiero ostatnie dziesiątki lat rozwinęły sport i kult podróży morskich, a świat jest pełen tak pięknych i ciekawych widoków. Jakże bogatą w nie jest południowa Ameryka. Wpływając do zatoki Rio de Janeiro ma się uczucie, że nic na świecie nie jest w stanie zaćmić widoku fantastycznych gór, królewskich palm i błękitnych zatoczek tego południowego fjordu; objazd wokoło miasta daje możność ujrzenia zatoki z takich punktów jak widok Chiński, widok Cesarski i szczyt Głowy Cukru posiadający kolejkę zębatą; wzniesienie się na szczyt nocą daje wspaniałą panoramę miasta, którego światła „wielkiej Białej Drogi" widoczne są od strony morza z odległości dwudziestu mil. Niemożliwem jest wymienić wszystkie godne widzenia punkty południowej Ameryki — to jednak pewne, że kontynent ten potrafi zaspokoić wiele głębokich zainteresowań począwszy od wysmukłych wierzchołków srebrzystych Andów, skończywszy na szarych lodowcach cieśniny Magellana.

Bywają okręty, które łączą podróż do południ. Ameryki z serją ciekawych postojów na pobrzeżu Afryki i wówczas możemy się nasycić także wspaniałością Riviery Afrykańskiej.

Zwiedzanie miasta Cape Town urozmaicone wycieczką kolejką napowietrzną na górę Stołową, lub jazdą na desce po falach w Muizenbergu pochłania czas wprost niepostrzeżenie.

Droga samochodem wzdłuż wybrzeża do przylądka „Dobrej Nadziei" wije się między górami i morzem wśród mnóstwa kwiatów, sosen i paproci. Natomiast uda-



Podróż okrętem podczas pogody jest przyjemnym odpoczynkiem i rozrywką, pełną zabawy i radości życia

jąc się wgląb lądu możemy zwiedzić stare miasta jak: Wellington, Paare i inne.

W pewien upalny poranek w lutym pojechałem do zatoki Camp kilka mil od Cape Town. Zarówno błękit wody jak temperatura powietrza (70° Fahrenheita) zachęcały do kąpieli, wskoczyłem więc w fale morza. Uf. Woda była lodowato zimna. Okazało się, że ciekawy wybryk natury stanowi niska temperatura wody koło tego półwyspu od strony Atlantyku, podczas gdy o kilka mil dalej od strony Oceanu Indyjskiego woda jest o kilkanaście stopni cieplejsza.

Podróż okrężna po morzu Śródziemnem posiada również wiele uroku o ile jest przedsiębrana w odpowiednim czasie, gdy wita ono przybysza błękitno-złotym uśmiechem.

Morze to spłatało mi kiedyś złośliwego figla; wyjechawszy samochodem na pobrzeże zostałem zaskoczony przez mistral, szalejący kilka godzin wraz z ulewnym deszczem. Wróciłem przemoczony i zziębnięty. Następnego dnia dopiero zajaśniało słońce rozpraszając szare mgły i przywracając poprzeźu jego błękitny kolor.

Morze Śródziemne, łączy charakterystycznie odrębne kraje południowej Europy, północnej Afryki i Wschodu z ich różnorodnością ubiorów, ras i obyczajów.

Tanger, Algier, Tunis, Egipt są obrazem życia i kolorytu Afrykańskiego Zachodu z jego miastami, pełnemi bazarów, zakwefionych kobiet i smagłolicych mężczyzn. Wyspy Balearskie, Archipelagu greckiego, Korfu i Sycylja, to szereg śpiących wiosek, obsadzonych oliwkami, pełnych barwnie odzianych mieszkańców.

Pobrzeże Riviery usiane jest niemal międzynarodowemi miejscowościami pełnemi hoteli o niebywałym komfortem.

Neapol, błękitne Capri, Wenecja, Dalmacja, Konstantynopol ze złotym Rogiem. Każdy z tych punktów pełen jest swoistego czaru. Poza historycznemi wspomnieniami związanemi z brzegami tego morza jest coś szczególnie pociągającego zarówno w przeczystym błękicie jego wód podczas dnia, jak kiedy noc okrywa jego fosforyzujące wody.

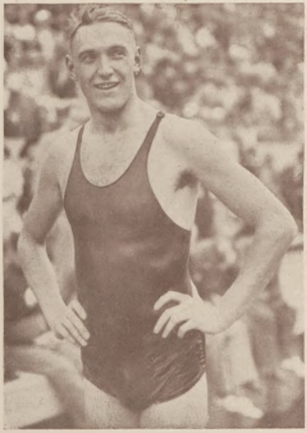
(„The Seagver")

Tłum. J. Wyszyński

Pływactwo polskie przed olimpjadą

Polski Komitet Olimpijski ogłosił listę działów sportu, w których mają być zorganizowane treningowe grupy olimpijskie. Na liście tej niema oczywiście, pływania. Piszemy „oczywiście", gdyż w ten sposób postępowano zawsze, zgóry przekonywując pływaków przez całe czterolecie, że nie mają po co robić wysiłków, gdyż i tak nigdy na Olimpjadę nie pojadą.

System ten jest niezawodny. Przy takiem postawieniu kwestji jest się zabezpieczonym od niespodzianek olimpijskich, od nagłych wyskoków formy czołowych zawodników. Zastosowanie jego raz tylko było w pełni uzasadnione, to jest w przededniu Olimpjady w Los Angeles, kiedy to ze względu na niski ówczesny poziom pływactwa przy jednocześnie fantastycznie wysokich kosztach podróży, istniały rzeczywiście wszelkie podstawy, by nawet z kuszenia się o wyjazd zgóry rezygnować.



Sietas — Hamburg, podczas olimpijskich eliminacyjnych zawodów pływackich w Dusseldorfie, ustalił nowy rekord światowy, na 200 m. st. klas. w cz. 2:42,4

Inaczej przedstawia się sprawa teraz. Mamy przed sobą najtańszą dla nas Olimpjadę. Jeszcze nigdy Igrzyska nie odbywały się tak blisko. Koszt przejazdu przy zastosowaniu zniżek w Polsce i w Niemczech jest znikomy. W tych warunkach można sobie pozwolić i na liczniejsze obsadzenie Igrzysk i na większe i pełniejsze przygotowania.

Nie da się zaprzeczyć, że na zasadzie wyników z roku 1934 nikt z naszych pływaków obecnie nie kwalifikuje się do wyjazdu do Berlina na Igrzyska. Jeżeli jednak wyniki zeszłoroczne nie przeszkodziły Komitetowi Olimpijskiemu w urządzaniu grupy olimpijskiej, np. dla hokeistów, znajdujących się obecnie w wyjątkowo lichej formie, to tem więcej nie ma żadnych podstaw do rezygnowania zgóry z urządzania grupy treningowej pływackiej, tembardziej, że koszt przygotowania jednego hokeisty będzie pewnie ze trzy razy większy od kosztu jednego pływaka.

Mamy przecież do Olimpjady jeszcze półtora sezonu pływackiego. Jest to okres dla tego działu sportu tak wielki, że można w ciągu niego doczekać się niezwykłych rewelacyj i ogromnego podniesienia zawodników już znanych, ale oczywiście pod warunkiem, że się nad tem popracuje, że się zawodnikom poda rękę i nie odmówi im pomocy. Chodzi tu zresztą nietylko o pomoc w sensie materjalnym, o dostarczenie trenerów, urządzenie obozów, ułatwienie pracy, i t. d., ale przedewszystkiem o poparcie moralne. W obecnej sytuacji pływacy mogą słusznie twierdzić, że są w Komitecie Olimpijskim na indeksie. P. K. Ol., który ma na swem sumieniu wysyłkę niejednego już partacha na dawne Olimpjady, a przedewszystkiem ogromne ilości niepotrzebnych delegatów (zwłaszcza do St. Moritz i Amsterdamu), nie dał jeszcze nigdy ani jednego grosza na pływactwo. Takie nastawienie może zgasić zapał największych entuzjastów, może w miejscu zahamować pracę najbardziej utalentowanych zawodników. W odmowie urządzenia grupy olimpijskiej już dziś przejawia się tak wyraźna nieżyczliwość P. K. Ol. do tej gałęzi sportu, że w tych

warunkach każdy zawodnik musi uważać swe wysiłki za bezcelowe, gdyż wie doskonale, że dopóki nie zostanie Weissmüllerem, dopóty na Olimpjadę nie pojedzie.

Mamy prawo użyć wręcz słowa „nieżyczliwość", choć wywoła ono może burzę. Ale mamy dowody tej nieżyczliwości. Wystarczy wspomnieć, że kiedy w roku zeszłym powstała możliwość repatryjacji znakomitego pływaka emigracyjnego Chrostowskiego, zawodnika przed którym nawet rekordy światowe stoją otworem, zawodnika tej miary, jakich Polska poza Kusocińskim i Walasiewiczówną wcale nie posiada, P. K. Ol. nietylko nie zdradził najmniejszych tą sprawą zainteresowań, (nie mówiąc już o skutecznej pomocy), ale nawet jeden z dygnitarzy tej instytucji oświadczył niżej podpisanemu wręcz, że Komitet nie jest... biurem pośrednictwa pracy, i takiemi sprawami zajmować się nie będzie...

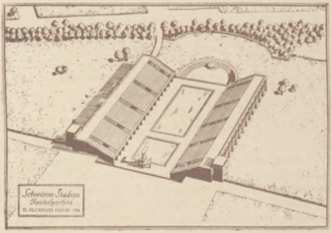
Piękna jest droga do zebrania plonu, zaczynająca się od siania. Kto ma czas na czekanie aż ziarno wyrośnie — może ograniczyć się do kroczenia tą drogą. Kto jest jednak głodny i potrzebuje chleba natychmiast, nie może ograniczyć się do wrzucenia ziarna do ziemi, tembardziej, że ten chleb gotowy i wypieczony nasuwa nam się, i trzeba tylko ręką sięgnąć, by go mieć. P. K. Ol. miał jakieś skrupuły, że to podobno komuś nie będzie się podobało. Być może, ale co nas to może obchodzić? Wszystkie państwa robią to samo, każdy, kto może, wystawia na Olimpjadach w swoich barwach swych emigrantów, którzy doszli do wyników w Stanach Zjednoczonych, a tylko my mamy się krępować. Zresztą można to było robić z doskonałem powodzeniem z Walasiewiczówną, to dlaczego nie można było zrobić z Chrostowskim, tembardziej, że rok temu nie był on zupełnie na szerokim świecie znany. Zresztą poza Chrostowskim jest tam jeszcze (nie licząc wątpliwego Ficka), cały legjon innych, zupełnie nieznanych zawodników polskich, z których każdy mógłby jeszcze w Europie być asem.

Niewątpliwie, droga ta będzie uciążliwa i da nam kłopoty. Skreślenie pływania całkowicie z listy przygotowań jest bezsprzecznie bez porównania wygodniejsze. Jesteśmy w wygodnej sytuacji — wyniki obecnie są słabe, mamy więc spokój, pocóż martwić się o ich podniesienie, żeby nabrać nowych kłopotów, tak, jakby mało ich było z pozostałemi gałęźmi sportu. Ten pogląd przebija się tak jaskrawo i jest tak pełen konsekwencji i logiki, że trudno z nim polemizować. Bo rzeczywiście, poco robić sobie nowe kłopoty?

Psuje tę sytuację jedynie Chrostowski. Bo jest on Polakiem, mówi po polsku, interesuje się Polską, i nie można tak jak o Bocheńskim czy Karliczku powiedzieć sobie, że się „skończył" i nie warto się nim zajmować. Tym jednak wypadałoby się zająć. Samo tłumaczenie, że Amerykanom może się to nie podobać, nie jest dostateczne.

Niezależnie jednak od tych pływackich „walasiewiczówien" musimy się zająć na serjo naszymi zawodnikami. Nie słychać, by Polski Związek Pływacki zaprotestował przeciwko takiemu negatywnemu zgóry nastawieniu P. K. Ol. do działu sportu, za który P. Z. P. odpowiada. Co gorsze, dochodzą wiadomości, że P. Z. P. zamierza wkroczyć w ślepy zaułek, na drogę wiodącą bezpośrednio i nieubłaganie w kierunku upadku danej gałęzi sportu, mianowicie zamierza niemal całkowicie przerwać kontakt z zagranicą. Takie przynajmniej enuncjacje ukazały się w prasie. Niewątpliwie muszą być one mocno przesadzone. Chociaż bowiem na czele P. Z. P. stoją nowi ludzie, nie mający jeszcze w tym dziale sportu własnych doświadczeń, to jednak każdy z nich ma wielkie doświadczenia z własnej obserwacji innych działów sportu i wie doskonale, że podstawowym i nieodwołalnym warunkiem wszelkiego postępu w sporcie jest **stała rywalizacja z przeciwnikiem silniejszym**. Ani spotkania dorywcze, ani łatwe „triumfy" nad zagranicznymi pętaczami, których możnaby sobie jeszcze dobrać dowoli na Bałkanach i w państwach Bałtyckich, nie są bodźcem do postępu. A liczyć na to, że zawodnicy obecni będą się doskonalić, wiedząc zgóry, że mają zamkniętą drogę do walki z zagranicą, i że z ich pracy korzystać będzie dopiero następne pokolenie pływackie — byłoby wielką naiwnością. Jeżeli P. Z. P. nie zaprotestuje skutecznie przeciwko polityce P. K. Ol. stosowanej do sportu pływackiego i jeżeli sam się do tej polityki przyłączy — można iść o dowolny zakład, że nie będzie ani jednego pływaka polskiego i na XII Olimpjadzie, i że do reszty stracimy nawet tę skromną pozycję jaką mamy w pływactwie międzynarodowem, tak samo jak np. hokej polski po okresach triumfu stracił zupełnie swe stanowisko w Europie dlatego tylko, że pierwsze załamanie formy, które mogło być chwilowem, wykorzystano odrazu do zerwania kontaktu ze światem.

Tadeusz Semadeni.



Olimpijski stadjon pływacki przygotowywany do Olimpjady w Berlinie

Komunikat P. Z. Ż.

I. Obozy żeglarskie. P. U. W. F. i P. W. urządza następujące obozy żeglarskie:

a) 28-dniowy obóz żeglarstwa jachtowego w Ośrodku Morskim Państwowego Urzędu W. F. i P. W. w Gdyni od 15.VI do 12.VII dla 20 członków klubów żeglarskich w stopniu sterników jachtowych żeglugi morskiej i 25 członków klubów żeglarskich w stopniu sterników jachtowej żeglugi śródlądowej (lub posiadających wiedzę w zakresie sternika jachtowej żeglugi śródlądowej).

b) 28-dniowy obóz żeglarstwa śródlądowego w Jeziorach w 2-ch turnusach, pierwszy turnus od 22.VI do 19.VII, drugi turnus od 21.VII do 17.VIII po 28 członków klubów żeglarskich i harcerzy w stopniu żeglarzy śródlądowych.

Zgłoszenia należy kierować do P. Z. Ż. do dn. 15 maja b. r. podając nazwiska, dokładny adres, przynależność klubową i kwalifikacje żeglarskie kandydatów.

II. Pomiary olimpijek. P. Z. Ż. zawiadamia, że dla „olimpijek" ustanowione są odrębne przepisy pomiarowe, które między innemi wymagają, aby budowa odbywała się pod nadzorem mierniczego Związku, który dokonywa pomiary i w czasie budowy. Dla uniknięcia ewent. nieporozumień, wzywa się zainteresowanych do zgłaszania do P. Z. Ż. po odnośne przepisy, które będzie można nabyć w sekretarjacie P. Z. Ż., poczynając od 6 maja r. b.

Warszawa, dn. 25 kwietnia 1935 r.

Sekretarz: *Jerzy Lisicki* Prezes: *Czesław Petelenz Kom*

Z oddziału kajakowego W. K. S. „Wawel" w Krakowie

Na odbytem Walnem Zebraniu dnia 16 stycznia b .r., wybrano nowy Zarząd Oddziału, w składzie następującym: prezes — inż. T. Rząca, viceprezes — dr. W. Rzonca, sekretarz — M. Plebańczyk, zastępca — B. Dziewiński, skarbnik — dr. S. Pischinger, zastępca — R. Dyga, kapitan sportowy — W. Roth, zastępca — W. Sołtys, kapitan turyst. — Z. Figuła, członkowie — W. Golkówna, por. K. Tym, B. Mierzwa.

Oddział Kajakowy W. K. S. „WAWEL" należąc do najstarszych klubów kajakowych — dzierży prym w kajakarstwie polskiem, tak regatowem, jak i turystycznem. Posiadając w swych szeregach najlepszych regatowców, jak Sołtys, Przybylski, Kielor, Dziewiński i inni — posiada równocześnie większość mistrzostw Polski i Okręgu Małopolsko-Śląskiego. Także w turystyce wykazuje oddział największą żywotność — zdobywając, w ubiegłym roku, najwięcej Odznak Turystycznych P. Z. K.

W nadchodzącym sezonie przygotowuje Oddział szereg ciekawych imprez tak sportowych, jak i turystycznych. Do najciekawszych należeć będą Międzyklubowe Mistrzostwa „WAWELU", oraz organizowany po raz pierwszy w Polsce, Maraton kajakowy, na dystansie 100 kilometrów. Z imprez turystycznych wymienić należy szereg obozów wędrownych na Jeziorach Augustowskich, na Bracławszczyźnie, na pojezierzu Kaszubskiem i na Pińszczyźnie. Na powyższe imprezy zapewnia Oddział — swym Członkom — wybitne ulgi przejazdowe i kwaterunkowe.

Ceny ogłoszeń: 1 strona zł. 300, 1/2 strony zł. 155, 1/4 str. 80, 1/8 strony zł. 45, w tekście o 50% drożej.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI, WARSZAWA, BRONISŁAWA PIERACKIEGO 15 — TEL. 670-56.
Prenumerata „Sportu Wodnego" wynosi półrocznie Zł. 10, rocznie Zł. 20.
Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się. Ogłoszenia i prenumerata zagr. 50% drożej. Konto w P. K. O. Nr. 6613
Wydawca „WAW" Warszawska Agencja Wydawnicza S-ka z o. odp. *Redaktor MIECZYSŁAW MAJCHER.*

Drukarnia W. Merkel, A. Kowalewski i S-ka, Warszawa, Chłodna 37, Tel. 669-46.